

K.Maliszewski, *Ludzie stąd*, Kraków: Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, 2017.

Nie-miejsce

Nowy tom prozy Karola Maliszewskiego to zbiór opowiadań z dużą siłą językowego rażenia oraz nazwą polemicznie nawiązującą do opowiadań Marii Dąbrowskiej pt. *Ludzie stamtąd*.

Podzieloną na cztery części książkę (*Jabłka umarłych*, *Ludzie stąd*, *Słownik terminów*, *Pracownik miesiąca*) stanowi wielość fikcyjnych (ale też prawdziwych) bohaterów z ich porteparole czyli wychodzącym na jaw w autotematycznych odsłonach narratorem. Autor związany od zawsze niewidzialną pępowiną z Nową Rudą lokuje ich perypetie w dobrze mu znanej topografii. Skala dopuszczonych do głosu ludzkich typów nie wychodzi tu, niestety, poza obiegowy obraz polskiej prowincji. Niewymienione z nazwy ale łatwo rozpoznawalne „miasto umarłych” może być figurą duchowego „nie-miejsca”, w którym trudno wytrzymać dłużej niż do czasu potrzebnego na dokończenie lektury.

Maliszewski niestrudzenie penetruje dziką przestrzeń rhizomatycznych wypustek osieroconego przez Boga (pisanego jeszcze dużą literą), fikcyjnego świata, w którym jest już „po wszystkim”. Mroczna sfera narracji tej bebechowatej prozy kanalizuje wody odpadowe globalnej duchowej prowincji.

Autor po raz kolejny udowadnia, że zdecydowanie bliżej mu do barbarzyńców niż do klasycystów. Nowością w nieznoszącym dużych liter i patosu języku tej prozy jest nieśmiała próba wsunięcia w wartką materię opowieści aforystycznych wstawek. Jakby w plasterku (pogardzanego już dzisiaj) salcesonu trafiało się od czasu do czasu na kawałki lepszego mięsa. Jakby autor chciał, ot tak mimochodem, przemycić jednak garstkę mądrości życiowych typu: „Kobieta. Stworzenie umilające bezsens przez jego pogłębianie” albo: „Nawet jeśli współczesny poeta mało czyta, to i tak znajdzie się jakiś klucz do jego wyobraźni”, czy zaskakująca wobec: „Pogadaj z ciałem, dotrzyj wreszcie do prawdy” - sentencja: „Wystarczy kochać”, rzucona po tym, jak się już pokazało, że miłość nie jest możliwa. Ale szczytem patosu jest tu mądrość: „Wielcy samotnicy są szlachetnymi wyjątkami w morzu pospólnego bycia”. I gdybyśmy nie wiedzieli, że zdanie rzucone zostało w obliczu ptasiej tragedii dotyczącej gąsiora, któremu

rwący Poprad na wieki zabrała partnerkę, pękła by w tym miejscu narracja z nadęcia, a tak tylko groteską się zanosi.

Przed psychodelicznym światem dopuszczonych do głosu bohaterów autor odgradza się „słownikiem terminów” literackich i muzycznych, bo: „Z problemu nie ma innego wyjścia, jak tylko przez język”. Stąd pomniejszenia (litota), odpryski (parerga), nagłe zmiany (metabola) czy kombinacje kilku melodii (quodlibet) itd. To właśnie język w swej fikcyjnej, literackiej postaci stanowi wentyl bezpieczeństwa przed dosłownym, czy nie daj Bóg (czy „Boguś”?), autobiograficznym rozumieniem świata, do którego nas autor wprowadza.

Ideowa strona książki Maliszewskiego kłuje w oczy, prowokuje. „Harmonia nie sprzyja [tu] rozwojowi” i biegowi wypadków. Z ideałów schodzi powietrze: „I to dosłownie. Pierdzi ta moja dziewczyna coraz odważniej”.

Ale o co właściwie tutaj chodzi? W tym miejscu klasykiem podeprzeć by się można: „... aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Komunikacja jest w tej epickiej grze esencją. Podmiot mówiący – „Goły. Obrany z niepotrzebnych skórek. Pozbawiony sensodajnej otoczki” – który nieśmiało udziela sobie głosu w „Ludziach stąd”, do czegoś jednak dąży: „Dlatego zamyka się w sobie coraz szczelniej, żeby lepiej skomunikować się z prawdą. Inni ludzie nie są mu do niej potrzebni”. Grzebie więc w książkach, zapisuje kolejne zeszyty w kratkę, formułuje swoje credo: „Nie wierzę w zaświat pełen gotowych usługowych figurek. Wierzę w siłę języka, spryt i sprawność tysięcy wypróbowanych przez ludzi śpiewnych, terapeutycznych zdań, aby [...] oprzeć się o jakiś zapomniany ołtarz”.

„I co, kurwa, mam/y/ z tym zrobić?” Chciałoby się zapytać, parafrazując samego narratora dochodzącego w pewnym momencie do samoświadomości. Co zrobić z tym beznadziejnym pochodem bytów ku śmierci, z niewyraźnym Heideggerem w tle? Nie ma tu żadnej tajemnicy: „Żyjemy dla niższego rzędu i dobrze się mamy [...]. I dopiero teraz można zacząć. Na gnijącym mięsie. Na pływającej wyspie gówna. Bez wielkich słów. Zamiast miłości empatia, przyjaźń, przywiązanie”. Groteskowo ukazany katolicki skansen zastępuje się tu gębą podszytym kościołem międzyludzkim. To, jak się narratorowi w pewnym momencie wydaje, jedyny ratunek w świecie, w którym sperma leje się obficie i albo ktoś mimowolnie „daje dupy” (np. „w męskim klasztorze”), albo bardzo by tego chciał (stuknięta babcia mająca fantazje

erotyczne na temat miejscowego księdza) i dlatego rozpaczliwie szuka obiektu (choćby w dmuchanej lalce).

Ponowoczesność jako źródło cierpień? Freudem odbijająca się kultura globalnej wioski? Nie da się w warstwie ideowej książki Maliszewskiego zakwalifikować tak ogólnikowo, aczkolwiek coś na pewno na rzeczy jest. To kolejna prozatorska próba ukazania przez tego cenionego krytyka literackiego i coraz bardziej rozpoznawalnego poetę i prozaika, że literatura dotykać może żywej, pulsującej tkanki (prze)życia w rozpaczliwym poszukiwaniu (mimo wszystko) jakiejś metafizyki miejsca (zob. motto na początku). W każdym razie trzeba go czytać uważnie, a przede wszystkim dobrze znać, aby nie ugrzęznąć w błocie nieoczywistych półprawd. Inna rzecz, że literatura miałaby się bronić sama:

„Nie wiem, czy ty widzisz to, co widzisz, czy raczej to zmyślasz, bo ja zmyślam coraz więcej, nie ufając słabnącym oczom. Ale przecież jakoś widzę, pomagając sobie wyobraźnią. Te wszystkie soczewki ktoś ustawia, układa, kierując w określoną stronę. Dlaczego w tę stronę i pod takim kątem? I na jakie światło czeka się tak długo?”